

JA MAM SZESNAŚCIE LAT, a Sasha siedemnaście, idziemy nocą na plażę, nikogo tam nie ma. Wcześniej urządziłyśmy u niej imprezę, w trakcie której spadłam i zdarłam sobie skórę na kolanie, gdy pewien chłopak wziął mnie na barana, a zrobił to tylko po to, żeby jej zaimponować.

– Zmęczyłaś się, biegaczko? – zapytał.

Oni wszyscy nazywają mnie biegaczką.

Uwolniłyśmy się od towarzystwa. Zdążyłyśmy się już upić i wytrzeźwieć, a po opróżnieniu beczki z piwem, po wysprzątaniu domu jej rodziców, po odholowaniu ludzi do samochodów wyniosłyśmy śmieci do kontenera przy plaży i wbiegłyśmy boso na piasek. W spokojnym morzu odbija się księżyc; gdy fale się wznoszą, woda rysuje się wyraźnie, metalicznie, a gdy opadają, pogrąża się w granatach i czerniach.

Każda z nas przyniosła po worku pustych puszek i butelek, plastikowych kubków oraz resztek trochę zbyt mocno wypieczzonego tortu z proszku oraz sałatki makaronowej z oliwą, czosnkiem, serem i siekanymi pomidorami. Czuć od nas piwem i potem.

Pod nieobecność jej mamy i siostry, które postanowiły towarzyszyć tacie w delegacji, zorganizowałyśmy Sashy spóźnioną o tydzień imprezę urodzinową. Nikt poza nami nie wiedział, jaka to okazja, i nim przyszli nasi starsi znajomi z większej szkoły mieszczącej się kilka kilometrów dalej, przygotowałyśmy talerze, serwetki, noże i widelce, i udawałyśmy, że takie jesteśmy dorosłe. Rozlałyśmy wino do kieliszków, odstawiliśmy się jak trzeba, a potem wszyscy przyszli i zrobili zdziwione miny, kiedy wskazałyśmy im miejsca przy stole, a następnie przyniosłyśmy tort i nikt nie wiedział dlaczego.

Każda z nas zaliczyła zabawę z piciem piwa z beczki w pozycji do góry nogami i odsłaniały nam się przy tym brzuchy i staniki. Ja obciągnęłam zsuniętą bluzkę, ona zostawiła swoją owiniętą wokół szyi. Potem znikła na jakiś czas w pokoju siostry z kolesiem, którego znam z bieżni i o którym gadają ciągle moje koleżanki z treningów, a ja w życiu nie zamieniłam z nim słowa.

– Słaba ta impreza – mówię teraz do Sashy.

Może nie mam racji, ale to jedyna osoba na świecie, której mogę mówić takie rzeczy.

– Drętwe towarzystwo – odpowiada.

Zdejmuje bluzkę i spodnie, a ja staram się nie gapić.

– Wszystkiego najlepszego – mówię i myślę: po co zaprosiłyśmy ekipę, której nie lubimy, skoro mogłyśmy spędzić cały wieczór właśnie tak?

Sasha śmieje się i wskazuje brodą moje ciuchy.

– Idziesz?

Mamy styczeń, ale to Floryda, jest ciepło, zdejmuję więc bluzkę i spodnie.

Sił nam nie brak, wypływamy daleko i choć pierwszy kontakt z wodą wywołuje szok, czuję się w niej lepiej, bezpieczniej; na lądzie nigdy nie czuję się tak pewnie.

Po godzinie wracamy do jej domu, bierzemy ciepły prysznic, robimy sobie turbany z ręczników, rozsiadamy się na jej wielkiej kwiecistej kołdrze, Sasha mówi, a ja słucham jednym uchem, bo już po chwili leżę i pozwalam, by jej słowa płynęły nade mną, aż przysmakują mi się oczy. Na ogół nie śpiam zbyt dobrze – wędruję pod wysokimi sufitami znieruchomiałego i zbyt rozległego piętra domu rodziców albo czatuję ze starszymi

mężczyznami i udaję kogoś, kim nie jestem, ale kiedy jestem z nią, śpię po dziesięć, dwanaście godzin, do samego południa.

2017

1

W TYGODNIU BUDZIK uruchamia się o 4:30 rano, a żeby nie przełączyć na drzemkę, telefon trzymam na stopniu drabinki prowadzącej do łóżka na antresoli, którą zbudował nam mój mąż we wnęce udającej sypialnię. Schodzę po omacku i odnajduję telefon, często spadający na podłogę. Wyłączam budzik, wkładam stanik, legginsy, koszulkę, buty, rękawiczki i opaskę na głowę, łapię klucze i telefon, zamykam za sobą drzwi i biegnę, przebiegam wiele kilometrów, nim wszyscy się obudzą.

O 6:15, już wykapana i przebrana, zaczynam szykować śniadanie. Czasami, gdy dzieci jeszcze śpią, mąż wślizguje się do mnie pod prysznic i uprawiamy seks. W łazience jest chłodno. Przechyla mnie nad uchwytem przy półce. Przyciska do brudnawych kafelków, unosi mi nogę. Ciało wystaje mi poza chmurę gorącej wody. Skóra sinieje z zimna, dygoczę, marznę i czekam, aż dojdzie.

Do pracy jeżdżę z przesiadką, a żaden z pociągów nigdy nie trzyma się rozkładu. Na pierwszy czekam czasem trzy minuty, innym razem kwadrans. Zdarza się też, że pociąg już stoi, a ja przeciskam się przez bramkę i torby obijają mi się o biodra i plecy, gdy pędzę po schodach, przepycham się przez tłum i wsuwam przez zamykające się drzwi. Często nie znajduję miejsca siedzącego i staram się nie chwytać pobliskich rąk i ramion, gdy pociąg ostro skręca albo gwałtownie hamuje. Próbuję czytać książkę, ale jeśli siedzę, to od razu zasypiam, a jeśli stoję – niemal się przewracam. Trzymam ją nieruchomo otwartą, kostkami i łydkami ściskam obie torby, zapieram się mocno stopami.

Dzień dobry, zespole! – wita mnie apka Google’a, którą kazali mi zainstalować, gdy pół roku temu zaczynałam tę robotę. Przed tobą pełen radosnej energii dzień w pracy!

Tymczasem na Twitterze kończy się świat. Grozi nam wojna atomowa, topnieją pokrywy lodowe, w szkole jedne dzieci strzelają do drugih. W pracy noszę koszule z kołnierzykiem, kardigany i eleganckie spodnie z czarnej wełny, a na szyi pęk kluczy; tu nieczęsto wspomina się o świecie za murami.

Raz w tygodniu, czasem częściej, gdy w pociągu uda mi się usiąść, a jestem tak nieprzytomna, że sama nie wiem, co robię, przeglądam uśpionego na ogół Facebooka Sashy – zamieściła na nim zdjęcia z czasu studiów i nieliczne późniejsze. Dziewczyna, z którą mieszkała na drugim roku, co kilka lat udostępnia tę samą garstkę starych zdjęć. „Ale byłyśmy młode!” – dopisuje za każdym razem. Raz po raz patrzy więc na mnie dwudziestojednoletnia Sasha, jaką doskonale pamiętam: w beztroskiej, wyzywającej pozie, z idealnie regularną twarzą i ogromnymi oczami.

Zaglądam na jej praktycznie nieaktywnego Twittera. Trzy lata temu udostępniła artykuł z „New Yorkera” na temat Miami Beach w kontekście zmian klimatu. Żeby się upewnić, czy jeszcze żyje, zaglądam na Facebooka jej siostry i mamy; czasem przewija się na zamieszczanych przez nie zdjęciach.

Praca: dwie przecznice na północ od stacji metra, ceglany gmach, ogromne i ciężkie podwójne drzwi; mijam wykrywacz metalu i kolejkę dzieci czekających, aż ochrona sprawdzi ich ciała i plecaki. Unoszę kubek z kawą w stronę pracowników obsługi oraz znajomych dzieci.

Kilkoro woła mnie po nazwisku.

Zgłaszam obecność za pomocą rejestratora i rozmawiam z dwiema innymi wychowawczyniami, moimi jedynymi koleżankami z pracy. To czarne kobiety, ja zaś jestem biała; długo mi nie ufały, aż któregoś dnia zmieniły zdanie, ale czasem wydaje mi się, że nie do końca. Wszystkie jesteśmy starsze niż reszta grona pedagogicznego, a jedna z nich to jedyna poza mną dzieciata osoba w tym budynku. Nie ufały mi, bo nie powinny, bo w ich życiu jest tyle rzeczy, o których nie wiem i których nie rozumiem, bo czasem opowiadam im kłamstwa o swoim dzieciństwie, żeby moje życie wydało im się bliższe.

Chyba ufają mi głównie dlatego, że wszystkie trzy kochamy dzieci, które uczymy.

Przeglądamy różne apki i kalendarze Google z aktualnymi zadaniami i udostępniamy poranną prezentację na temat nowych procedur dla spóźnialskich oraz nowych zasad dotyczących ubioru: wyłącznie czarne skarpetki, koszule i bluzki wpuszczone do spodni i spódnic, obowiązkowy pasek, buty czarne, obuwie sportowe zakazane.

Rano prowadzę lekcje w dwóch klasach, uczę literatury i angielskiego, i wszystko jest w najlepszym porządku, póki jestem sam na sam z uczniami. Czytamy Hamleta i dzieci zgłaszają się do odpowiedzi. Obowiązuje mnie podstawa programowa, przewidywalna, skrojona pod kątem testów pamięciówka, ale mam ją w nosie. Głównie czytamy i rozmawiamy. Dzieci pracują w grupach, a potem razem przedstawiają swoje wnioski na flipcharcie. Moi uczniowie to osoby – jak je nazywamy – defaworyzowane: ciemnoskóre lub śniade, korzystające z dofinansowanych lub w ogóle darmowych obiadów. A chujowe, byle jakie wykształcenie, które odbierają tu co dzień od dorosłych wyglądających w większości jak ja, to tylko kolejny przejaw tego wykluczenia.

Na pierwszej lekcji przyłapuję jednego z uczniów z telefonem, chłopak rozbraja mnie uśmiechem pięciolatka, więc nie udzielam mu nagany.

– Odłóż telefon – mówię i staram się przybrać srogą minę.

Obowiązuje nas system dyscyplinowania uczniów za większe i mniejsze przewinienia, ale nawet nie zainstalowałam go w telefonie. Uczę w tej placówce od pięciu miesięcy – wcześniej odbyłam jeszcze miesięczne szkolenie – i nie udzieliłam dotąd ani jednego oficjalnego upomnienia.

Przydzielony mi nauczyciel wspomagający ma dwadzieścia cztery lata i nie zna się na swoim zawodzie. Nie umie też nawiązywać kontaktu z innymi ani wyjaśnić, czym jest monolog. Stoi za uczniami i usiłuje wlepić im upomnienia, a ja mówię mu, żeby tego nie robił, albo loguję się później do systemu i usuwam wszystkie wymierzone przez niego kary. Mój kolega stoi z rękami założonymi na piersiach i każe uczniom usiąść prosto albo dosunąć należycie krzesła. Mówią do niego „panie De”, a on kręci głową.

– Nie tak mam na nazwisko – odpowiada, a dzieci śmieją się, przepraszają niezbyt szczerze, a po kilku minutach znów mówią „panie De”.

– Panie De – woła któreś – muszę się wysikać.

Nauczyciel zaciska pięści.

– Ale naprawdę, panie De. Już nie wytrzymam.

– Nie teraz.

Podrywam głowę znad sprawdzanego wypracowania i bez słów staram się przekazać tej osobie, kimkolwiek jest, żeby przestała, ale jeśli nie posłucha, to też zrozumiem.

– Idź – mówię dziecku, które nadal domaga się wyjścia do toalety.

Pan De stoi w milczeniu, zaciska zęby, nie spuszcza ze mnie wzroku, a przez resztę lekcji nikt nie odzywa się do niego słowem.

Podczas lunchu siedzę ze swoimi dwiema koleżankami i zamiast zgodnie z zaleceniami strofować dzieci, że mają po sobie sprzątać i nie przeklinać, jedziemy po innych nauczycielach. Gadamy o dwudziestoczterolatkach, moim współpracowniku i innych nauczycielach: dwudziestotrzy- czy dwudziestosześcioletnich, jeden czort. W każdym razie o młodych, prawie wyłącznie białych, nerwowych i pobudzonych, intonujących każdą wypowiedź jak pytanie. Osobach, które chyba boją się własnych uczniów, poza tym nie umieją uczyć i nikt nie próbuje im w tym pomóc. Mają spełniać wymogi, którym nie potrafią sprostać, przynajmniej sądząc po wynikach testów i klasowej średniej ocen, wpadają więc w panikę i każą uczniom zakuwać, czyli robią dokładnie to, czego robić nie powinni. A gdy ich metody nie działają, przerzucają winę na dzieci.

Oni nie są żadnymi potworami, ci młodzi biali nauczyciele. Obgaduję ich, bo jestem nieuczciwą manipulantką, bo nauczyłam się, że jeśli chcę się zbliżyć do współpracowników, najlepiej skonsolidować się z nimi przeciwko innym współpracownikom lub przeciwko przełożonym, a ja desperacko chcę się sprzymierzyć ze swoimi dwiema koleżankami. Co do tych dwudziestoczterolatków: zdarzało mi się przesiadywać z nimi w sali, która służy za pokój nauczycielski, gdy nikt nie prowadzi w niej lekcji. Są tacy młodzi, a gdybym ich uczyła, zostaliby pewnie moimi pupilami. Piliśmy razem kawę i uczestniczyliśmy wspólnie w szkoleniu. Są na swój sposób uroczy i tak żarliwie mówią o sprawiedliwości społecznej, ale są moimi koleżankami i kolegami z pracy, nie uczniami i uczennicami, i nie rozumieją, najpewniej nie chcą zrozumieć, że pod wieloma względami ich dobre chęci są funta kłaków warte.

Czasami dosiadam się do dzieci ze swojej klasy, tych, które nie przyniosły zadania domowego albo przysypiają na lekcji.

– Chcecie zjeść ze mną lunch? – pytam.

Kręcą głową, ale się uśmiechają. Najczęściej dowcipkują, wyśmiewają siebie nawzajem.

– Pszepani, a wie pani, że Jalen się zakochał w Aminacie, a Razaq to nawet nie przeczytał tego czegoś, za co go pani ostatnio pochwaliła, a Ananda wrzuciła snapa o facecie Nashyi i teraz ze sobą nie gadają, i po lekcjach Nashya jej pokaże.

– Facecie, hm? – mówię, a one się ze mnie śmieją.

– Psze pani, a pani ma faceta?

Kiwam z uśmiechem głową, a one dalej chichoczą.

Po lunchu mam okienko, więc pobieram i drukuję wszystkie paski wynagrodzeń, ponieważ potrzebuję ich do złożenia wniosku o upadłość konsumencką.

– Co słyszać? – pyta jeden z matematyków, gdy korzystam z drukarki w przestrzeni wspólnej. On też ma dwadzieścia cztery lata, nosi krawat, granatową marynarkę i odprasowaną białą koszulę zapiętą zawsze pod samą szyję. Poza tym ma lśniące białe zęby, idealną sylwetkę i za dużo owłosienia na twarzy. Sprawdzam, czy mam wszystkie paski, a on zagląda mi przez ramię, więc odwracam się, żeby wiedział, że sobie tego nie życzę.

– Dużo radosnej energii – odpowiadam.

Budynek dzielimy z pięcioma innymi szkołami, i drużyna lekkoatletyczna nie ma gdzie trenować, podczas czterech ostatnich lekcji robi to więc w korytarzu. Wychodzę z pokoju

socjalnego i przywieram do ściany, czekając, aż dzieci przefruną przez płotki. Jakaś uczennica zahacza czubkiem stopy o podstawę płotka, ten przewraca się z hukiem na ciemną, twardą posadzkę, a dziewczynka upada, podpira się dłońmi o zimne płytki i ani piśnie. Co chwilę zaglądam do torby i upewniam się, czy wzięłam paski. Zerkam na Twittera, sprawdzam w kółko skrzynkę mailową, czytam pobieżnie uczniowskie wypracowania, wystawiam oceny. Nie jestem tak dobrą nauczycielką, jak bym chciała. Brakuje mi konsekwencji i łatwo się rozpraszam. Jednego dnia wpisuję po pięćdziesiąt kilka komentarzy do każdego trzypięciowego wypracowania, po czym zaraz następnego sprawdzam pospiesznie, czy wszyscy oddali prace, poprawiam garstkę błędów gramatycznych i merytorycznych i wstawiam prawie same B. Moich uwag nikt nie czyta, a najbardziej owocne są spotkania z uczniami oko w oko przed lekcjami lub po nich i poświęcanie czasu na dyskusję. Uczniowskie pismo jest najczęściej mało czytelne i po kilkugodzinnej lekturze wysiada mi mózg.

Trzy godziny przed końcem mojej zmiany dzwonią z przedszkola naszej starszej córki. Stale zapominają, że mają dzwonić do mojego męża, który w tygodniu jest w domu i zajmuje się dziećmi pod moją nieobecność. Nasze dziecko wetknęło sobie do nosa koralik. Mam przyjechać i zabrać je do lekarza. Już chcę powiedzieć higienistce, że ma zadzwonić do mojego męża, ale zmieniam zdanie: odpowiadam, że zaraz będę, i powiadamiam SMS-em szefa, że muszę wyjść. W gronie pedagogicznym tylko moja koleżanka i ja mamy dzieci, więc samo hasło „dziecko” sprawia na ogół, że moim współpracownikom oczy zachodzą mgłą, a oni sami robią się niespokojni i podenerwowani, tak że udaje mi się łatwo wymigać od obowiązków.

Zanim wejdę na stację metra, odbieram telefon z przedszkola z informacją, że udało się wyjąć koralik. Druga higienistka, która miała wcześniej przerwę na lunch, przycisnęła kciukiem niezatkałe nozdrze naszej córki i tak długo dmuchała jej w usta, aż koralik wyskoczył.

– Wobec tego nie musi pani przyjeżdżać – mówi kobieta. – Wróciła do sali, nic jej nie jest.

Ale ja już się ubrałam i wyszłam, idę więc dalej. Mijam stację. Kiedy byłam bardzo młoda, wolna i bezdzietna, potrafiłam całymi dniami chodzić po mieście. Kieruję się teraz na północ, potem na zachód i wreszcie wchodzę do Guggenheima. Wystawiają retrospektywę obrazów, na które składają się proste, surowe linie i barwy. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odwiedziłam muzeum w dniu roboczym; przechadzam się bardzo powoli spiralną galerią, jest cicho i pusto. Długo przyglądam się każdemu obrazowi. Chyba tak właśnie mogą czuć się wierzący, gdy wyobrażają sobie, że obcują z bliska z przejawem boskości.

Z muzeum kieruję się na stację i jadę metrem na południe, a potem wybieram się do kawiarni, w której bywałam często, nim zatrudniłam się na etacie. Poświęciłam sześć lat na studia doktoranckie z brytyjskiej i amerykańskiej literatury, powojennej i późniejszej, tworzonej przez zapomniane lub z rozmysłem wyrzucone z kanonu pisarki: Penelope Fitzgerald, Anitę Brookner, Jean Rhys, Nellę Larsen i Lucię Berlin. W pewnym momencie żyłam w przekonaniu, że obdarowując ludzi książkami – ukazując im ich bogactwo, ciche, sekretne, przelotne poczucie bezpieczeństwa – robię coś naprawdę pożytecznego. Przez pięć kolejnych lat pracowałam na pół etatu, między innymi jako wykładowczyni, kelnerka i asystentka biurowa. Kiedyś przez pół roku pisałam testy dołączane do kiepskich podręczników pewnego molocha wydawniczego, ale wylali mnie, bo pisałam za długie zdania.

Mam trzydzieści cztery lata i praca w szkole jest moim pierwszym w życiu zajęciem na pełen etat.

Kiedy pisałam magisterkę, a później sprawdzałam prace studentów, przychodziłam do tej kawiarni niemal codziennie. Jeszcze rok temu zaglądałam tu co najmniej raz w tygodniu. Znam imię dziewczyny zza kontuaru, ponieważ pisze się je jak moje, ale inaczej wymawia, z czego sobie żartowałyśmy, gdy pytała mnie o imię, którym miała wezwać mnie do odbioru kawy. Ale gdy tym razem pyta mnie o imię, a ja, w przekonaniu, że mnie pamięta, odpowiadam i się uśmiecham, ona tylko kiwa głową, wklepuje je do systemu i wydaje mi resztę.

Daję jej napiwek, bardzo hojny, i nadal się uśmiecham z nadzieją, że sobie mnie przypomni. Mam przy sobie tę samą książkę, której nigdy nie czytam w pociągu: *Accident nocturne* Patricka Modiano. Otwieram i czytam, treść jest dziwna, magiczna; dochodzi do wypadku samochodowego, a potem prawie nic się nie dzieje. Sączę kawę i odłamuję po kawałku zamówionego ciastka. Dostaję SMS-a od męża z pytaniem, jak mi minął dzień. „Okej” – odpisuję.

Po godzinie od właściwej pory wyjścia z pracy zaczynam się zbierać. Odkąd zaczęłam czytać, po moich obu stronach pojawiły się nowe grupki ludzi. Filiżanka jest pusta. Ciastko zjedzone.

– Cześć, kotku – słyszę po wejściu do windy.

Odwracam się i widzę sąsiadkę.

– Cześć, Josslyn – mówię.

To moja ulubiona sąsiadka. Gdy zadaje mi pytania, zawsze się przysuwa i chwytą mnie za łokieć. Jest po sześćdziesiątce, ale mogłaby uchodzić za czterdziestkę. Nosi obszerne wełniane kardigany w żywych kolorach, a skręcone w ciasne sprężynki włosy przycina na krótko. Ma też wielkie oczy i zawsze czekam niecierpliwie, aż mnie chwyci swoimi szorstkimi, ciepłymi dłońmi.

– Jak leci? – pyta.

– Kijowo.

To taka nasza gra, od sześciu lat, czyli odkąd się tu wprowadziliśmy: na zdawkowe pytanie o samopoczucie nie odpowiadamy nigdy: „dobrze”, „w porządku”, „jako tako” ani „po staremu”.

Śmieje się.

– U mnie to samo – mówi, gdy wysiadamy z windy. – Ucałuj dziewczynki – dodaje i otwiera drzwi do mieszkania.

– Ucałuję – odpowiadam, otwierając własne.

– Jak ci minął dzień? – pyta zza kuchenki mój mąż, gdy wchodzę i zdejmuję buty.

W całym mieszkaniu pachnie cebulą, czosnkiem i papryką poblano. Obejmuję dzieci, przygarniam do siebie, całuję, podwójnie, bo jeszcze od Josslyn. Dwulatka wdrapuje mi się na kolana, żeby się przytulić.

– Dobrze – odpowiadam.

Kąpiemy dzieci, jemy, kładziemy je spać i oglądamy telewizję – rzadko coś na tyle zajmującego, żebyśmy nie majstrowali jednocześnie przy telefonach albo komputerach. I idziemy do łóżka.

Czytam Jean Rhys, *Good Morning, Midnight*: „Gdy siedzę i patrzę na te przeklęte lalki, czuję się jak odurzona i zadaję sobie pytanie: jaki też sukces odniosłyby w życiu, gdyby były kobietami?” – mówi główna bohaterka o porcelanowych lalach zdobiących sklep, w którym przyszło jej pracować.

Mój mąż zasypia.